Świetlice gromadzkie — muszą pracować intensywniej

Kiedy kierownik świetlicy gromadzkiej dowiedział się, że przyjechał ktoś z miasta, zjawił się od razu z prośbą: gdybyście tak mogli pomóc nam sprowadzić trochę brystolu na gazetki ścienne i dekoracje. Spytałam, czy to największa bolączka świetlicy. Odpowiedział, że najgorzej z tym brystolem, no, a z innymi sprawami to już sobie sam poradzi. Zaczęliśmy rozmawiać o tych innych sprawach, najpierw w świetlicy — ale po 20-tu minutach tak zmarzłam, że trzeba było przenieść się do gospody ludowej na herbatkę. Mój rozmówca przyznał, że w świetlicy w ogóle się nie pali i dlatego nikt do niej nie przychodzi. Ale liczy na frekwencję, kiedy się ociepli, na wiosnę chce już właśnie świetlicę odpowiednio przygotować. No, i w końcu, oczywiście, nie trudno było nam dojść do zgodnego wniosku: że z brystolem to już on sobie sam poradzi, ale z wszystkimi innymi sprawami — nie.

Gdy wieczorem przejeżdża się przez wsie — w którymkolwiek powiecie województwa rzeszowskiego — i napotyka się ciemne okna, to w wielu wypadkach można z góry powiedzieć — o, tu właśnie jest świetlica. Ogromna ilość świetlic gromadzkich straciła w tym roku bezpowrotnie najlepszy sezon pracy świetlicowej — zimę. Tego już nie da się, oczywiście, odrobić, ale trzeba ustalić, gdzie tkwią przyczyny zła i jak je zlikwidować.

Ustalmy zatem najpierw, kto jest właściwie gospodarzem świetlicy gromadzkiej i kto odpowiada za zapewnienie jej odpowiednich warunków działalności? Gospodarz jest ten sam, co i całej wsi: gromadzka rada narodowa. Do niej należy organizacja całokształtu życia kulturalnego we wsi, zabezpieczenie mu właściwych podstaw materialnych, a jednocześnie — właściwej atmosfery, właściwej treści. Powiedzmy sobie od razu: to niezwykle trudne zadanie, chyba jedno z najtrudniejszych w ogóle zadań gromadzkiej rady.

We wspomnianej rozmowie o brystolu — jakże typowej i charakterystycznej — okazało się, że bolączki świetlicy — z brystolem i opałem włącznie — mają wspólne źródło. Jest nim brak orientacji w kompetencjach, brak doświadczenia gromadzkiej rady narodowej, brak dostatecznej znajomości właściwej jej pracy, treści i formy we wszystkich zresztą dziedzinach.

Jedna z powiatowych rad narodowych pragnęła pomóc młodym, niedoświadczonym radom gromadzkim na swoim terenie. Nadesłała zatem szczegółowe wytyczne działalności — z działalnością kulturalno-oświatową włącznie. Wytyczne liczą sobie ni mniej, ni więcej, tylko 30 stron gęstego maszynopisu. Trochę to wygląda na niedźwiedzią przysługę. Bo przecież większość gromadzkich rad jest nieobyta z urzędowym słowem pisanym, z urzędowym stylem, z urzędową procedurą. Na przykład cała sprawa z brystolem zaczęła się od tego, że nie było wiadomo, jak otworzyć konto świetlicy. A ileż korowodów bywa nieraz z kilkuzdaniowym listem czy podaniem urzędowym. Cóż dopiero — przeanalizować 30-stronicową instrukcję!

Odpowiedzialnym gospodarzem gromadzkiej świetlicy jest gromadzka rada narodowa. Ale jeśli w tym roku świetlice gromadzkie na ogół pracują słabo — nie winmy wyłącznie rad gromadzkich. To przecież dopiero pierwsze miesiące ich działalności, które dowiodły niewątpliwej dobrej woli, ofiarności, szczerego wysiłku tysięcy najlepszych chłopów, opanowujących trudną sztukę rządzenia. Należy im się bezwzględnie pomoc. I właśnie dlatego nowa uchwała Prezydium Rządu w sprawie wzmocnienia działalności kulturalno-oświatowej rad narodowych, ze szczególnym uwzględnieniem wsi — ogniskuje uwagę na powiatowych radach narodowych, stawia im największe wymagania, najsilniej bije za dotychczasowe braki i błędy — powiatowe, a nie gromadzkie rady narodowe.

Gromadzka rada narodowa ma nie tylko prawo, ale i obowiązek zażądania pomocy powiatowej rady. A jakąż pomocą w zakresie pracy kulturalno-oświatowej mógł dotychczas służyć powiat? Spośród 106 powiatowych domów kultury może kilkanaście utrzymuje właściwą więź z terenem, jest istotnie ośrodkiem instrukcyjnym dla wsi, obsługuje ją swymi imprezami, pobudza i otacza opieką miejscową inicjatywę. Ale dwie trzecie powiatów nie posiadają jeszcze w ogóle domów kultury, a wydziały kultury prezydiów powiatowych rad narodowych zbyt słabo związane są z wsią.

PRN miały do tej pory przeciętnie 1—2 pracowników kulturalno-oświatowych. Lekceważenie tych zagadnień znalazło wyraz w tym, że pracowników kulturalno-oświatowych zepchnięto do najniższych grup uposażenia. Jasne, że to lekceważone i źle płatne miejsce zajmowali ludzie nieodpowiedni, mniej więcej w 70 procentach nie na poziomie, bez pojęcia o sprawie, bez autorytetu. I ci zresztą nie zajmowali długo tych stanowisk. Olbrzymia płynność kadr „kulturalno-oświatowych" (tak, nawet tych w cudzysłowie kulturalno-oświatowych) uniemożliwiała jakąkolwiek pracę nad nimi, szkolenie, rozwój. Niejeden kierownik świetlicy czy biblioteki gromadzkiej wracał z powiatu, dokąd udał się po radę i pomoc, głęboko rozczarowany.

A przecież przy stałym, ogromnym rozwoju sieci placówek kulturalnych na wsi — samych świetlic gromadzkich jest ponad 10.000 — przy stałym, olbrzymim wzroście potrzeb kulturalnych wsi — niesposób centralnie kierować życiem kulturalnym wsi. Musi zostać wzmocniony aparat terenowy, a przede wszystkim główny, naturalny punkt oparcia dla wiejskiego aktywu kulturalno-oświatowego — wydziały kultury powiatowych rad narodowych. Tym większe spoczywają na nich obowiązki, że została poważnie ograniczona liczba placówek Związku Samopomocy Chłopskiej, że zlikwidowane zostały powiatowe rady związków zawodowych.

A więc w PRN muszą się znaleźć działacze i instruktorzy kulturalno-oświatowi z odpowiednim wykształceniem, wyrobieni politycznie, doskonale zorientowani w potrzebach kulturalnych wsi, nastawieni zasadniczo na pracę w terenie, w gromadach. Czy mają pracować za gromadzką radę? Bynajmniej, trzeba tylko wyciągnąć pomocną rękę do wiejskiego aktywu kulturalnego, stworzyć aktyw tam, gdzie go jeszcze nie ma, a przede wszystkim uczyć, uczyć, uczyć gromadzką radę narodową, gospodarza wsi, co to znaczy — kultura. Że to nie sprawa zabawy — a sprawa polityki i ideologii. Że nie chodzi o rozrywkę — lecz o rewolucję kulturalną. Że wszystkie ośrodki kultury na wsi muszą być ośrodkami wychowania socjalistycznego.

Wymieniona uchwała Prezydium Rządu z 12 lutego tego roku przewiduje materialne zabezpieczenie rozwoju aparatu kulturalno-oświatowego rad narodowych poprzez znaczne zwiększenie liczby etatów i funduszu płac, głównie w powiatowych radach narodowych. Muszą napłynąć do nich odpowiednie kadry, przygotowane i fachowo i politycznie — absolwenci szkół artystycznych, kursów kulturalno-oświatowych. Musi raz wreszcie ustać płynność tych kadr. Muszą one zdobyć sobie właściwy autorytet. Muszą zainicjować nową wzmocnioną ofensywę kultury na wieś, ożywić walkę, która ostatnio nieco przygasła.

Oczywiście, że sama uchwała i wytyczone przez nią praktyczne posunięcia nie przesądzą, jak się ta ofensywa potoczy. Ostateczny wynik zależy od kierownictwa politycznego radami narodowymi, od powiatowych i wojewódzkich komitetów partyjnych, od ich sektorów kultury. I tu trzeba powiedzieć, że za dotychczasowy zły stan kadr kulturalnych w gromadzkich i powiatowych radach narodowych ponoszą współodpowiedzialność komitety partyjne. Przecież to w pewnej mierze i od nich rady narodowe nauczyły się odsuwać zagadnienia kultury i oświaty na ostatni plan, umniejszać ich wagę w porównaniu z innymi problemami, szczególnie gospodarczymi, takimi, jak np. na wsi — skup, kontraktacja, siew. A czyż i te problemy nie zależą właśnie od wyników walki o nowy typ światłego, świadomego, kulturalnego obywatela wsi, takiej walki, jaką jest nasza rewolucja kulturalna?

Dzięki uchwale powstała nowa szansa wzmocnienia życia kulturalnego wsi, która zresztą nie jest niczym innym, jak jednym z wielu konsekwentnych posunięć w dziedzinie naszej polityki kulturalnej. Trzeba dołożyć wszelkich sił, żeby tę szansę w pełni wykorzystać, żeby okna wszystkich świetlic wiejskich rozjarzyły się światłem, żeby świetlice gromadzkie rozbrzmiewały gwarem.

BARBARA OLSZEWSKA

ROK MICKIEWICZOWSKI

Zespół świetlicowy przy Zakładach Wytwórczych Transformatorów w Łodzi przygotował inscenizację III części „Dziadów" oraz „Romantyczność" Adama Mickiewicza. Reżyserem zespołu jest Barbara Wegner.

Na zdjęciu: Zespół podczas sytuacyjnej próby „Romantyczność".

CAF — fot. Szarfharc

NADSZEDŁ CZAS WALCOWNI

(Korespondencja własna z Nowej Huty)

Pierwszy przechylny piec martenowski wielkiej stalowni Huty im. Lenina produkuje. Co dwadzieścia godzin kilkusettonowy kolos przechyla się, wylewając za każdym razem 360 ton doborowej stali. Młoda, lecz posiadająca — dzięki przeszkoleniu w Hucie „Pokój" i w słynnych radzieckich zakładach hutniczych „Azowstal" — wysokie kwalifikacje zawodowe obsługa martena pokonała trudności pierwszych dni i 23 lutego zameldowała o wykonaniu planu miesięcznego.

Z bocznicy kolejowej Huty im. Lenina co parę dni wyruszają pociągi pełne stalowych wlewków. Jadą do hut Zagłębia Stalinogrodzkiego, gdzie stal z marką Huty im. Lenina zdobyła już sobie niemałe uznanie. Lecz mimo to transporty stali na zachód do hut śląskich nie mają zbyt wielkiej przyszłości. Wkrótce bowiem, za kilka tygodni, stal wytapiana w pierwszym piecu martenowskim będzie przetwarzana na miejscu w Hucie im. Lenina.

Dla każdego, kto nawet nie zetknął się bliżej z hutnictwem, jest rzeczą wiadomą, że końcowym produktem tego przemysłu są wyroby walcowane. W walcowniach nadaje się stalowym wlewkom żądany kształt i wymiar. Tu wlewki — rozgrzane do białości w piecach wgłębnych — kierowane są do walcarek. Samo walcowanie polega na zgniataniu i wydłużaniu materiału. W pierwszych stadiach przeróbki na walcarkach wlewki stalowe stają się półfabrykatami, które następnie, kilkakrotnie przewalcowane, zależnie od potrzeby przekształcają się w gotowe wyroby hutnicze.

Wróćmy jednak do Huty im. Lenina. Za parę tygodni rozpocznie tu pracę gigantyczna, nie mająca sobie równej w całej Europie — poza Związkiem Radzieckim — walcownia-zgniatacz. Jej hala oraz walcownia blach, które zostaną uruchomione jako pierwsze, ciągną się na przestrzeni jednego kilometra. Obecnie na budowie walcowni-zgniatacza można spotkać tylko gdzieniegdzie robotników budowlanych. Ich miejsce zajęli pracownicy rozruchu.

Przed kilkunastu dniami ekipy specjalistów przystąpiły do prób i rozruchu poszczególnych urządzeń zgniatacza. W maszynowni, spełniającej w systemie zgniatacza funkcje podobne do tych, które wykonuje serce w organizmie ludzkim, uruchomiono już pięć tzw. „leonardów" (system generatorów i silników). Maszynownia lśni czystością. Stąd właśnie popłynie przewodami energia, która ożywi potężne agregaty zgniatacza oraz cały skomplikowany system walcowni.

Rozruch „leonardów" — to dopiero pierwszy krok ekipy rozruchowej, którą kieruje inż. Stasikowski. Zadania pracowników rozruchu rosną z każdym dniem. Jednego dnia uruchomili „leonardy", a następnego przystąpią do rozruchu walcowni i suwnic. Skomplikowanej i trudnej pracy będzie coraz więcej.

Inżynierowie i robotnicy, prowadzący rozruch walcowni, nie lękają się trudności. Inż. Schwarz, kierownik nadzoru montażu urządzeń zgniatacza, wraz z liczną grupą fachowców, zdobył niemałe doświadczenie na wielkich budowlach planu sześcioletniego. Lecz nie tylko to stanowi o pewności i opanowaniu, jakie charakteryzują ludzi walcowni. Inżynierom i technikom walcowni służą radą i pomocą nasi radzieccy przyjaciele, delegowani do Huty im. Lenina z zakładów hutniczych Kraju Rad.

Przy uruchamianiu walcowni-zgniatacza grupie rozruchowej pomaga inż. Gregory Gładuchow, doskonały znawca urządzeń elektrycznych. Przybył on do Huty im. Lenina z tych samych zakładów w Charkowie, które dostarczyły maszyn do zgniatacza. Inż. Jelsakow z zakładów „Uralmasz" w Swierdłowsku uczestniczy w przeglądzie rolek i trybów samotoków. W jego rady i wskazówki pilnie wsłuchują się nie tylko pracownicy rozruchu, lecz także i załoga eksploatacyjna zgniatacza.

90 procent walcowników, którzy za parę tygodni podejmą normalną pracę, znajduje się już na miejscu. Pilnie śledzą robotę pracowników rozruchu, przysłuchują się uwagom radzieckich ekspertów. W przyszłości — jak znalazł. Również prawie całkowicie skompletowany jest personel inżynieryjno-techniczny zgniatacza.

Obecnie trwają egzaminy pracowników służb utrzymania ruchu mechanicznego i elektrycznego. Załoga najnowocześniejszej, najbardziej zmechanizowanej walcowni musi być jak najlepiej przygotowana do przyszłej pracy. A przyszłość to wcale nie daleka. Jeszcze tylko parę tygodni i walcownia-gigant rozpocznie normalną pracę w służbie narodu.

R. Dzięciołkiewicz

Na ekranie

„Upiór na sprzedaż"

W znakomitym filmie włoskim „Złodzieje i policjanci" jest scena, ukazująca turystów amerykańskich w Rzymie kupujących od Włocha starą rzymską monetę — no ta bene fałszywą.

W filmie „Witaj słoniu" widzimy jak sekretarz egzotycznego księcia zwiedzającego Rzym zabiera „na pamiątkę" antyczne rzeźby i ładuje je do bagażnika samochodu. Z prasy często dowiadujemy się o wykupywaniu i wywożeniu z Europy zachodniej do USA cennych dzieł sztuki, starych pięknych zabytków.

Na tle jednego z takich wypadków osnuty jest angielski film „Upiór na sprzedaż", który niedawno wszedł na ekrany naszych kin. Bohater tego filmu mister Martin jest businessmanem. I to prawdziwie amerykańskim businessmanem... Potrafi robić interesy nie tylko na delikatesach, które są jego specjalnością. Potrafi również za śmiesznie niską sumę kupić zabytkowy szkocki zamek, który sam ocenia na 10 tysięcy. Zamek oczywiście nie pozostaje w Szkocji. Ma być przeniesiony do USA i zrekonstruowany na Florydzie. Kiedy mr Martin przekonuje się, że w zamku „straszy" duch, drze kontrakt kupna, ale później nabywa zamek ponownie, płacąc zań grubo więcej niż poprzednio.

Dlaczego? Bo przecież on amerykański człowiek interesu i na duchu pokutującym w zamku potrafi zrobić business. Szkocki upiór Glourie będzie reklamował niezrównane delikatesy firmy Martin.

Film jest satyrą. I to dobrze zrobioną satyrą. Na „przyjaciół" zza oceanu a przy okazji na starą szkocką szlachtę przedkładającą prywatę nad sprawy publiczne. (Oby nasza polska szlachta miała kiedyś w filmie tak krótką a zarazem tak trafną charakterystykę).

Świetnie wykpiono amerykańskie metody reklamy, ambicje „europeizowania się" przy jednoczesnym braku poczucia smaku i przerabiania wszystkiego na amerykańską modłę. (Wokół zamku na Florydzie mr Martin buduje kanał niczym w Wenecji i sam w szkockiej czapeczce na głowie pływa po nim w gondoli; murzyńska orkiestra „po szkocku", muzyka wydobywająca się z aparatu radiowego zainstalowanego wewnątrz średniowiecznej zbroi).

Że kpiny te „wychodzą" świetnie, zasługa w tym obok autora scenariusza Roberta Sherwood'a i reżysera — znanego francuskiego klasyka filmowego Rene Clair'a twórcy takich filmów jak „Niech żyje wolność", „Pod dachami Paryża". Na uwagę zasługuje również świetna gra Eugene Palette w roli mr Martina wywołującego na widowni huragany śmiechu.

WIKS

DZIŚ w NUMERZE:

FRANCISZEK GRABOWSKI — Aktualne zagadnienia pracy kulturalnej w naszym województwie

HELENA NARÓG — Czy Kazek może się uczyć?

WŁADYSŁAW ŚWIDRAK — „Opowieści leskie" — Odojewskiego (recenzja)

TU PRZYPIĄŁ TAM PRZYŁATAŁ

Rok VI Rzeszów, 12. III. 1955 r. Nr 10 (256)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Aktualne zagadnienia pracy kulturalnej

w naszym województwie

W roku obecnym rozpoczął się II Festiwal Muzyki Polskiej i V Międzynarodowy Konkurs Chopinowski. Imprezy te zakrojone na wielką skalę wzbudziły ogromne zainteresowanie nie tylko w kraju, ale i na szerokim świecie. Rok 1955 jest Rokiem Mickiewiczowskim, obchodzonym uroczyście nie tylko w kraju, ale i za granicą w myśl uchwały UNESCO. Dzieła wielkiego wieszcza narodowego A. Mickiewicza udostępnione zostaną całemu społeczeństwu. Trwają szeroko zakrojone przygotowania do Miedzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbędzie się w Warszawie.

Główny nurt pracy nad upowszechnieniem kultury jest skierowany na rozwój czytelnictwa oraz pracy świetlicowej i widowiskowej. Temu celowi służą wielkie akcje, jak: Konkurs Czytelniczy i eliminacje amatorskich zespołów artystycznych. Na łamach prasy i w zespołach działaczy kulturalnych toczą się twórcze dyskusje nad sztuką filmową, sytuacją w sztuce i architekturze, nad rozwojem literatury i repertuarem naszych teatrów. Duże sukcesy święci nasza kultura za granicą.

Również w naszym województwie rok 1955 zapowiada się pomyślnie w życiu kulturalnym. Poważne sukcesy uzyskaliśmy już w przebiegu konkursu czytelników wiejskich. Dalszy rozwój czytelnictwa oparł się na dobrych podstawach. Na początku roku 1954 było w naszym województwie 134.000 czytelników. Liczba czytelników do roku 1955 wzrosła do 157.000.

Poza tym wiele ciekawych imprez urozmaiciło życie kulturalne w tym roku. Do nich należą: otwarcie II Festiwalu Muzyki Polskiej w WDK ZZ przez zespoły muzyczne i śpiewacze miasta Rzeszowa. Ostatnio w Rzeszowie odbyły się ogólnopolskie eliminacje zespołów tanecznych „SP".

Do ciekawych imprez lokalnych należą wieczory dyskusyjne na temat życia i działalności artystycznej wybitnego polskiego malarza Chełmońskiego, w których brała udział jego córka Zofia z Chełmońskich Austowa, mieszkająca w Łańcucie oraz wieczór dyskusyjny nad „Utworami chłopa pańszczyźnianego" Jana Raka, zorganizowany w Husowie przez Bibliotekę Powiatową w Łańcucie.

Jan Rak, poeta chłopski, żył w tej miejscowości w latach 1820—1909. Na spotkaniu tym była również obecna jego córka Zuzanna Ciupińska, licząca 83 lata.

Na początku bieżącego roku oddany został do użytku wspaniały Dom Kultury w Gliniku Mariampolskim nie bez przesady nazwany pałacem kultury. Blisko dwa tysiące amatorskich zespołów przygotowuje się do eliminacji, które już wkrótce się rozpoczną. Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej mimo wielu trudności rozpoczął rok 1955 wspaniałą sztuką Gorkiego „Mieszczanie". Jeszcze lepiej zapowiadają się dalsze perspektywy rozwoju życia kulturalnego.

W tym miesiącu, bo już 22 marca odbędzie się — bodajże po raz pierwszy w historii WRN naszego województwa — sesja poświęcona sprawom kultury. Mamy nadzieję, że na ten sam temat odbędą się sesje rad niższych szczebli. Pomoże to zrozumieć, że sprawy kultury nie można traktować drugorzędnie, że praca kulturalna jest wyższą formą pracy politycznej. Mamy również nadzieję, że jeszcze w tym roku utworzony zostanie reprezentacyjny zespół pieśni i tańca województwa rzeszowskiego.

Obecnie toczy się dyskusja nad budową Młodzieżowego Domu Kultury i sądzę, że nie skończy się tym razem tylko na dyskusji. Przygotowywana jest także dokumentacja do budowy Domu Twórczości Ludowej w Rzeszowie. Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, Muzeum w odremontowanym przestronnym budynku, otwarcie nowego kina — oto niektóre tylko ważniejsze fakty mówiące o szerokich możliwościach życia kulturalnego.

W Rzeszowie powstanie wreszcie orkiestra symfoniczna, a w Lubaczowie Powiatowy Dom Kultury, wybudowany czynem społecznym przez mieszkańców powiatu.

Przypatrzmy się teraz pokrótce brakom w pracy kulturalnej naszego województwa.

Najważniejszym brakiem są jeszcze w dalszym ciągu fakty niedoceniania spraw rozwoju kultury przez organizacje i instancje partyjne, przez rady narodowe i organizacje społeczne. Wielu działaczy widzi w imprezie kulturalnej tylko rozrywkę, a nie widzi jej zasadniczej istoty tzn. formy pracy polityczno-wychowawczej. Dobrze zorganizowana impreza kulturalna to więcej niż kilka nieudanych, nudnych zebrań i referatów, to wysoka forma propagandy i agitacji.

Jednak wielu działaczy nie żyje w zgodzie z literaturą piękną i naukową, tłumacząc się brakiem czasu, albo swym „wysokim poziomem" z racji zajmowanego stanowiska. A tymczasem, analfabetyzm kulturalny, ciemnota, podobnie jak mróz zimą, wtyka swe pazury wszędzie tam, gdzie nie docierają ciepłe promienie książki, pieśni, muzyki, filmu.

Prelegenci, działacze i kierownicy na różnych odpowiedzialnych stanowiskach, którzy pogniewali się na książkę, gazetę i film są przyczyną straszących nudą zebrań, wypranych z wszelkich interesujących momentów, a nawet istotnej ich treści.

Tu również leży przyczyna, że lokale bibliotek i świetlic przeznacza się na magazyny i biura dla urzędów, że stanowiska pracowników kultury obsadza się ludźmi, którzy „do czego innego już się nie nadają". Tu również tkwi przyczyna, że domy kultury, sale kinowe, świetlicę zamienia się na sale pijackich zabaw.

Ktoś może powiedzieć, podajcie konkretne przykłady w tej sprawie? Przykładów jest dużo. Znajdziecie je niemal w każdym PDK, w każdym powiecie. Ileż to jest jeszcze świetlic w naszym województwie, które straszą wybitymi szybami w oknach, odrapanymi ścianami, połamanymi sprzętami, mimo że jest kierownik świetlicy pobierający jako wynagrodzenie pieniądze państwowe. — Czyja tu wina? Wina wszystkich tych, którzy tego rodzaju fakty widzą, a jednak je tolerują.

Tymczasem uchwała III Plenum KC PZPR powiada:

„W propagandzie i agitacji należy do końca przełamać szkodliwe tendencje do upiększania rzeczywistości lub deklaratywnego powtarzania ogólnych haseł, nadać jej charakter bezpośredniej, bogatej w argumentacje, szczerej rozmowy między partią a masami, nadać jej charakter bardziej ofensywny. Należy szybciej reagować na wątpliwości nurtujące w różnych środowiskach, wprowadzić więcej polemiki z wrogą argumentacją".

Czy to zobowiązuje w pracy kulturalnej? Najzupełniej. Z lakiernictwem walczyć również musimy i w programach zespołów kulturalnych. Chodzi o słuszną rzeczową krytykę — w satyrycznych wierszowanych utworach, w monologach i dialogach, w piosence — wszystkich tych braków, które przeszkadzają w rozwoju ludowej Ojczyzny. Trzeba tutaj także pamiętać o odwrotnej stronie tego zagadnienia. Nieprzemyślana krytyka, nie może przerodzić się w szkodliwe krytykanctwo wszystkich i wszystkiego, tak charakterystycznej cechy — dla wszelkiego rodzaju „rozrabiaczy", których jest wielu jeszcze w placówkach kulturalnych. W polemice z wrogą propagandą największe pole do popisu mają brygady artystyczno-agitacyjne. Trzeba wykorzystać w tym wypadku bogate doświadczenia kampanii wyborczej do rad narodowych.

I wreszcie uchwała III Plenum KC mówi:

„Konieczna jest wydatna poprawa w zaspokojeniu rosnących potrzeb kulturalnych ludności. Trzeba, aby zarówno instancje i aparat partyjny jak i cały aktyw partyjny poczuwał się do odpowiedzialności za zorganizowanie życia kulturalnego w swoim terenie. Instancje partyjne winny też poprzez rady narodowe i organizacje społeczne aktywnie organizować wysiłek ludności w kierunku rozbudowy instancji i urządzeń kulturalno - oświatowych, boisk sportowych oraz miejsc odpoczynkowych i rozrywkowych, pobudzać i rozwijać ruch świetlicowy, pracę oświatową oraz artystyczny ruch amatorski w mieście i na wsi.

A więc zadanie jasno i nie dwuznacznie sprecyzowane. Sprawami kultury i to naprawdę i z całą odpowiedzialnością muszą zająć się instancje i organizacje partyjne. Chodzi tu zarówno o stan ilościowy i jakościowy życia kulturalnego. Nie może mieć tu miejsca tolerancja faktów, gdy wszelkiego rodzaju „niekulturalne" czynniki przeszkadzają rozwojowi życia kulturalnego, lub biernie ustosunkowują się do tych spraw. Dotyczy to zarówno upowszechnienia kultury w mieście i na wsi.

Ważną rolę w tej mierze wyznaczają uchwały III Plenum KC, dla związków zawodowych. Wiele jest do zrobienia wśród robotników w dziedzinie upowszechnienia książki i dostarczenia dobrej rozrywki. Są tu dobre warunki do pracy lecz niestety nie w pełni jeszcze wykorzystane. Domy kultury zw. zaw. mimo dobrych urządzeń nie są jeszcze miejscem, gdzie mogłaby masowo znaleźć rozrywkę i spędzić wolny czas od pracy młodzież i dorośli.

I tutaj też jak twierdzi uchwała III Plenum, „należy rozwijać szeroką kontrolę społeczną robotników nad funkcjonowaniem urzędów i instytucji, które służyć mają zaspokajaniu bytowo- socjalnych i kulturalnych potrzeb załogi".

Wiele mogą zdziałać rady narodowe, a szczególnie gromadzkie rady narodowe nad upowszechnieniem kultury i zorganizowaniem życia kulturalnego w danej gromadzie.

Gromada Zalesie (powiat Rzeszów) zasłynęła w Polsce jako przodująca gromada w czytelnictwie między innymi i dlatego, że do tej sprawy mocno zaangażowała się i Gromadzka Rada Narodowa. GRN mogą wiele zrobić, aby powstały nowe placówki kulturalne na wsi drogą czynu społecznego, aby nie było nieżywotnych świetlic i bibliotek, aby rzeczywiście w gromadzie docierała książka pod każdą strzechę i wreszcie, aby powstały i pracowały zespoły artystyczne.

Tutaj trzeba jedno podkreślić, a mianowicie to, że nie należy czekać aż ktoś przyjedzie z powiatu, czy województwa i jak to się mówi coś tam „przetnie" czy „przełamie" i zaraz od tego momentu radykalnie zmieni się sytuacja na korzyść życia kulturalnego w gromadzie. Tu trzeba mieć własną inicjatywę i upartość działacza kulturalnego, aby przy wysiłkach społeczeństwa samej gromady i pod kierownictwem organizacji partyjnej i GRN wiele zrobić dla rozwoju kultury na wsi. Ważna jest praca samych komisji kultury i oświaty GRN. Chodzi tu nie o komisję powiedziałbym „papierkową", ale o komisję twórczą, legitymującą się wynikami w swej pracy. Z kolei uchwały III Plenum nakładają na organizacje i instytucje partyjne obowiązek, który polega na tym, że winny one „mobilizować państwowe i społeczne instytucje kulturalne, oświatowe i sportowe do lepszej pracy z młodzieżą, zwalczać przejawy niedostatecznej troski o warunki pracy i warunki bytowe młodzieży, o podwyższenie jej kwalifikacji zawodowych i jej rozwój kulturalny, jak również wzmacniać wszechstronnie pomoc i opiekę w stosunku do kształcącej się młodzieży".

A więc stoi wiele zadań i to zadań trudnych. Osiągnąć je będzie można, jeżeli sprawy kultury ze strony wielu czynników nie będą traktowane już jako przysłowiowe „piąte koła od wozu". Kadry kulturalne to nie mogą być przypadkowi ludzie, ale działacze kulturalni, znający się na zagadnieniach kultury i kochający swą pracę. Muszą oni znaleźć opiekę i szacunek ze strony władz i społeczeństwa. Walka z biurokracją w instytucjach kulturalnych, gdzie nierzadko rolę działacza, przysłania papierek zapisany niesprawdzonymi cyframi statystycznymi — oto dalszy warunek dla pogłębienia rewolucji kulturalnej w naszym województwie.

Franciszek Grabowski

Z Konkursu Chopinowskiego

W hallu hotelu „Polonia" (od lewej) pianiści: Adam Harasiewicz (Polska), Florence Margue Wang (Luksemburg), uczeń prof. Drzewieckiego — Fu Tsung (Chiny) i Alain Bernheim (Francja).

CAF — fot. Dąbrowiecki

Czy Kazek może się uczyć?

Do stacji kolejowej pozostało jeszcze z 3 km. Instruktor Kazek przyśpieszał kroku. Buty człapały miarowo po rozmiękłej, błotnistej drodze... żeby tylko zdążyć. Nie uśmiechało mu się kilkugodzinne czekanie na następny pociąg. Jeszcze kilkanaście metrów... już widać dokładnie stacyjne budynki. Potęguje się gwizd nadjeżdżającego pociągu.

No, odetchnął z ulgą, gdy ulokował się w mrocznym kącie przedziału. Wyciągnął znużone nogi. W wagonie było ciepło i wygodnie. Kazek szybko zapomniał o zmęczeniu. Perspektywa dwóch wolnych od pracy w terenie dni, tzw. instruktorskich i niedzieli wprawiła go w pogodny nastrój, który ostatnio tak rzadko mu towarzyszył.

— Nareszcie coś poczytam, poucze się trochę, odpocznę — planował instruktor.

Jakże jednak nierealne były, tak proste wydawałyby się na pozór, zamierzenia Kazka. Ileż to już razy postanawiał tak jak dziś — zabrać się solidnie do nauki i nigdy nic z tego nie wychodziło. Zawsze brakowało czasu, zawsze kierownictwo zarządu ZMP znalazło dla niego i innych nową robotę... książka, nauka były dla nich sprawami mniej ważnymi. A uczyć się trzeba, przekonał się Kazek o tym z własnej praktyki. Tylko kiedy, kiedy?...

— Dni instruktorskie, o których się tyle mówi, że przeznaczone są na naukę, instruktaż i wysłuchiwanie sprawozdań z terenu. Na naukę... kompletna kpina. Kazek poruszył się niespokojnie. Dobry humor przepadł bez reszty. Powróciły znów dawne kłopoty, wieczne, nie kończące się Kazkowe troski.

— Uczyć się... kiedy odbierają (kierownictwo zarządu ZMP) każdą wolną chwilę.

— Dni instruktorskie... ach te dopiero dają szkołę. Teren przy nich to mucha przy słoniu. Tyle sobie człowiek po nich obiecuje, a w konsekwencji siedzisz w zarządzie do późnej nocy, bez chwili wytchnienia. Jakby dla poparcia swoich rozmyślań wyciągnął z kieszeni plan instruktorskich dni.

Piątek: czytanie prasy, przygotowanie się do szkolenia, posiedzenia wydziałów, rozmowy z instruktorami, seminarium, zebranie partyjne.

Sobota: czytanie prasy, szkolenie partyjne, odprawa ogólna, szkolenie rolnicze, język rosyjski, zebranie ZMP.

W tych planach nie ma miejsca na własne życie, na kino, teatr, lekturę, na osobiste sprawy. Tu człowieka traktuje się jak maszynę... byle więcej wyciągnąć. Czy z pożytkiem? Nikt się nad tym nie zastanawia.

A potem jedź z pustą głową do młodzieży. Wstydź się swojego nieuctwa, kompromituj siebie i zarząd. Kierownictwo będzie miało rzecz jasna moc pretensji, wyciągnie wnioski, wsadzi karę.

Kazka ogarnął żal. Przed oczyma stanęły mu żywo ostatnie niepowodzenia w pracy. Nie dorównywał poziomem przygotowania młodzieży, której miał pomagać, uczyć, wychowywać i stąd to wszystko...

Kiedyż to było? — usiłował sobie przypomnieć. Chyba nie dalej jak tydzień. Pojechał wtedy do gromady.

Był wieczór. Z okien gromadzkiej świetlicy padały na drogę snopy jasnego światła. Powiedzieli mu we wsi, że jest zebranie ZMP. Wszedł do środka. Dziwne było to zebranie. Co tu robią wśród młodych ci wąsaci gospodarze? Przemawia też siwy staruszek, podobny do dziadka Wacusia. Mówi o Ślimaku, o uporze polskiego chłopa, o walce z naporem germańskim.

Jakiż to wszystko ma związek? Kazek usiłuje doszukać się w jego słowach sensu... co ślimaki, te małe, nędzne stworzenia mają do obrony polskiej ziemi? Co to wszystko znaczy? Z usilnych rozmyślań wyrwał go dźwięczny, dziewczęcy głos — Prus w „Placówce" przedstawił...

— Ach co ja — żachnął się Kazek... przecież tu chodzi o Ślimaka z „Placówki"... tak, zdaje się Prusa. Tak zresztą mówiła tamta. Kazek nie gwarantowałby w tej chwili za autora.

„Placówka"... miał ją w rękach chyba z półtora roku temu, może więcej. Przyniósł ją wtedy z biblioteki, oprawioną w szary papier. Przez kilka miesięcy przeczytał zaledwie 57 stron. Pamięta dokładnie tę cyfrę. Po półrocznym bezużytecznym trzymaniu „Placówki" odniósł ją do biblioteki. Zapłacił niemałą karę. Bibliotekarka chuda, wysoka kobieta, prostując zagiętą 57 stronę powiedziała z drwiącym uśmieszkiem — za 57 przeczytanych stron to trochę za wysoka kara.

57 stron. Na resztę nie starczyło czasu, a niekiedy i chęci. I dziś trzeba się wstydzić nieuctwa, uciekać od młodzieży zamiast jej pomóc — rozpamiętywał Kazek. Ale w tej właśnie chwili przewodniczący miejscowego koła dostrzegł instruktora i widać ucieszył się jego przybyciem. Przerwał na chwilę dyskusję, powitał oficjalnie i zaprosił bliżej.

Tego tylko brakowało... Kazek aż przygryzł wargi. Może jeszcze zechcą żeby coś powiedzieć? Jasne... O, już tam z kąta rzuca ktoś uwagę — teraz dyskusja pójdzie raźniej. A tom wpadł... trzeba jakoś wyjść na cało — myśl o obronie przeleciała przez głowę Kazka jak błyskawica.

...wybaczcie towarzyszu — słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło, ja tak tylko na chwilę, już uciekam... Szukam właśnie prezesa ZSCh, wiecie w sprawie konkursu... hodowlanego. Na dyskusję przyjdę następnym razem — dodał już raźniej widząc, że nie nalegają — że udało mu się wybrnąć jakoś z tej opresji, uratować instruktorski honor.

Kazek wcisnął się głębiej w kąt przedziału. Było mu wstyd. Bał się, by ktoś z podróżnych nie odczytał jego myśli, które snuły się po głowie, ciężkie, czarne i odbierały spokój.

...żeby to tylko tyle. Przecież ten smarkacz, syn sąsiadki, pierwszoklasista Wacuś tak zdrowo zagina go na literaturze, jego, instruktora zarządu ZMP, kilkuletniego pracownika w aparacie zetempowskim, młodzieżowego działacza — to skandal.

Pamięta dobrze ten wieczór. Przygotowywał jakieś punkty na jutrzejszą odprawę. Do pokoju cicho wsunął się Wacuś.

Wacuś ma 14 lat. Chodzi do I klasy liceum ogólnokształcącego. Dobrze się uczy. Sporo czyta. Ma w domu dużo książek i dużo czasu... Lubi też kompletować obrazki różnych malarzy wycinane ze starych książek.

— Chciałem pana o coś zapytać — odezwał się nieśmiało chłopak.... Kazek popatrzył trwożnie na mały obrazek gładzony pieszczotliwie ręką Wacusia. Szybko zabrał się do dalszego pisania.

...właśnie znalazłem kawałek starej książki, a w niej taki... piękny obrazek, prawda — ciągnął niezrażony... „Śmierć", autor — A. Grottger.

— Czy pan może mi coś powiedzieć o Grottgerze?

— Nie przeszkadzaj, widzisz, że pracuję, mam pilną robotę. Mocniej ścisnął pióro, pochylił niżej głowę skrobiąc jakieś zdania bez sensu. Skarcony opuścił pokój.

Dyskutujemy nad projektem Młodzieżowego Domu Kultury *im. Adama Mickiewicza*

Harcerze staną pierwsi przy budowie

„My harcerki ze Szkoły Podstawowej nr 3 TPD w Rzeszowie z wielką radością czytałyśmy artykuł o budowie Pałacu Młodzieżowego im. A. Mickiewicza. Pałac Młodzieżowy dałby nam olbrzymie korzyści. Weźmy pod uwagę nasze warunki szkolne, nie mamy odpowiedniej świetlicy harcerskiej, w której mogłybyśmy pracować, brak odpowiednich gabinetów, pracowni.

Dom Harcerza, który skupia młodzież na zajęcia popołudniowe, jest za szczupły, bowiem harcerzy w Rzeszowie jest bardzo wielu.

Dlatego młodzież całego naszego województwa winna zastanowić się nad sposobami pomocy przy budowie Domu. My na zbiórce Rady Drużyny szeroko dyskutowałyśmy w jaki sposób przyczynić się do budowy Domu.

Jednomyślnie uchwaliłyśmy, że będziemy w ciągu roku zbierać makulaturę, a otrzymane pieniądze przeznaczymy na budowę tak pożytecznego i koniecznego Domu Młodzieżowego. Także będziemy brać udział w pracy przy budowie na jaką stać będzie nasze młode ręce. Wzorem dla nas winien być Pałac Młodzieży w Stalinogrodzie, który również powstał ze składek tamtejszego społeczeństwa.

Drużyna nasza wzywa wszystkie drużyny harcerskie na terenie całego województwa, do podejmowania podobnych zobowiązań, by w ten sposób przyczynić się do budowy Domu Młodzieżowego w Rzeszowie".

Rada Drużyny przy Szkole Podst. nr 3 TPD w Rzeszowie ul. Hoffmanowej 1.

Trzeba mieć i wieś na uwadze

Który z rzeszowiaków nie pragnąłby zobaczyć w Rzeszowie jak najprędzej Młodzieżowego Domu Kultury? Rzeszów przecież jest miastem wojewódzkim. Powinien mieć wyższą uczelnię i Młodzieżowy Dom Kultury.

Wizja Młodzieżowego Domu Kultury już została oczom czytelników „Nowin Rzeszowskich" rzucona przez inż. Mariana Chodzińskiego i obywatela kryjącego się pod dwoma literkami M. W.

Zastanawiałem się długo czy zabrać głos w dyskusji, czy ja pedagog pochodzący ze wsi wniosę do dyskusji coś nowego lecz poczułem najgorętszą tego potrzebę. Zdaje mi się bowiem, że w dotychczasowej dyskusji trochę o wsi zapomniano.

Plany dotychczasowe bardzo ładne i olśniewające. Można by je dalej rozwijać i uzupełniać. Mnie np. bardzo się wszystko podoba, ale chciałbym widzieć w tym nowym Domu Kultury jeszcze wzorową międzyszkolną poradnię dentystyczną, nowocześnie wyposażony gabinet lekarski. No bo jakże? Gdzie je dla młodzieży szkolnej umieścić? A gdy ma być w tym Domu jedno i drugie, to przydałoby się gdzieś pod dachem i solarium z łazienką i obserwatorium astronomiczne, a najbardziej by się przydał dla przyjezdnych mały (obok albo wewnątrz) hotelik, bo gdzież będą podczas swych występów zespoły młodzieżowe nocować?

I jeszcze mnie jedno mocno niepokoi. Czy z takiego Domu Kultury w Rzeszowie będzie mogła korzystać bez internatu na miejscu młodzież dojeżdżająca ze wsi? Już z praktyki wiem i fakty mi mówią codziennie, że młodzież dojeżdżająca po naukę do Rzeszowa z wiosek okolicznych — z naszych instytucji kulturalnych w pełni, jak dotychczas, nie korzysta. Trudno ją namówić do pójścia do teatru czy domów kultury. (A o próbach przed występami zwykle nie ma mowy). Czyż do tego najnowocześniejszego Domu Kultury będzie uczęszczała? Trzeba właśnie młodzieży dojeżdżającej stworzyć jak najlepsze warunki do nauki. Konieczny byłby dla tej młodzieży internat. Obojętne gdzie, byle w miejscu zdrowym i w pobliżu Młodzieżowego Domu Kultury.

Nie chodzi przecież o to, by stał na widocznym miejscu imponujący wszystkim biurowiec, lecz by w nim życie kulturalne tętniło. A śmiem twierdzić, że bez młodzieży wiejskiej, która jak w tej chwili będzie się nadal śpieszyła do pociągów i gorączkowała na stacjach — życie kulturalne w naszym wojewódzkim Młodzieżowym Domu Kultury należycie i w pełni nie zatętni.

Chcę w nim widzieć kulturalne współdziałanie miasta ze wsią. To młodzieży wiejskiej od wsi nie odciągnie, ale ją uzbrajać będzie do lepszej pracy dla siebie, dla wsi, dla chłopa, a tym samym i dla państwa, dla jego lepszej przyszłości. Niech Dom Kultury w Rzeszowie będzie i dla nich kuźnią nowości. Niech im daje wiedzę i kulturę nowoczesną. Nie będziemy wówczas narzekać, że wieś nie nadąża za miastem, że na stacjach kolejowych wałęsają się chuligani. Ale odważmy się naprawdę nie tylko ładnie marzyć, ale i czynić. Za dyskusjami niech idą zawsze dzielne nasze i tworzące nowe, lepsze życie czyny.

WŁADYSŁAW DŁUGOSZ

W Młodzieżowym Domu Kultury w Gdyni

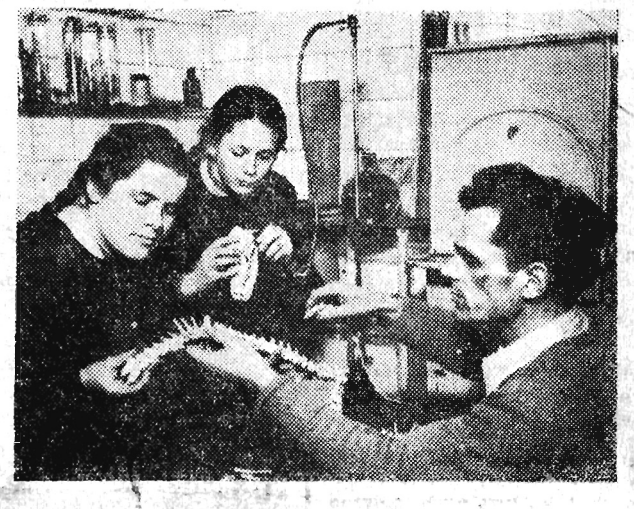

Młodzieżowy Dom Kultury w Gdyni cieszy się szczególnym zainteresowaniem młodzieży szkolnej mieszkającej na przedmieściach miasta. Dziennie przychodzi tu ok. 600 dzieci. MDK posiada pracownie: techniczną, naukową, artystyczną, szkutniczą, lotniczą, mechaniczną i wiele innych.

Miłośnicy sportu mają do dyspozycji salę gimnastyczną. Duże powodzenie wśród dzieci mają pracownie techniczne. Uczniowie sami przygotowują tu pomoce naukowe dla szkół gdyńskich. CAF — fot. Uklejewski

Wywód książek

„Opowieści leskie" — Odojewskiego — *powieść o rewolucyjnym chłopstwie*

Książka Odojewskiego pt. „Opowieści leskie" wydana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" w 1954 r. nie zachwyca nas specjalnie wysokim poziomem artystycznym, gdyż zarówno sam sposób ujęcia tematu jak i środki wyrazu, nie stanowią w sobie nic rewelacyjnego. Jednak podjęta przez autora, próba objektywnego oświetlenia stosunków polsko-ukraińskich, wraz ze wszystkimi ich klasowymi aspektami, czynią ją wartościowym dziełem literackim.

Z książki tej do naszego czytelnika, dociera prawda o zaprzyjaźnionym z nami narodzie ukraińskim, a także o nacjonalistach ukraińskich zorganizowanych w UNDO, mordujących nie tylko Polaków ale i Ukraińców.

* * *

Straszliwa nędza, bezrobocie i głód, wywołują gniew i oburzenie w masach, które nie zawsze rozumieją, że przyczyną ich niedoli są nie złe lub dobre chęci jednostki, a cały system ustroju kapitalistycznego.

Przeciwko ciemiężycielom masy ludowe podnoszą zbrojną rękę. W 1932 r. w powiecie leskim dochodzi do zbrojnych starć z policją granatową i wojskiem i ostatecznie wybucha głośne w historii polskiego ruchu robotniczego — powstanie leskie.

Na tle wydarzeń, przed powstaniem i po powstaniu, Odojewski napisał swoją książkę „Opowieści leskie". Jest to literacka parafraza tego powstania, mówiąca nam o tym, że linia podziału w walce nie przebiegała według schematu „Ukraińcy i Polacy", jak to „dowodziła" nam zawsze burżuazyjna historiografia. Autor opisuje te sprawy na przykładzie Brzegu — wsi zamieszkałej przez ludność obu narodowości. Widzimy tu, że Sajda — małorolny chłop i jego córka Marta żyją w przyjaźni z Ukraińcami — z rodziną Bazyluków i kiedy sołtys Przybyła, kułak, z pochodzenia Polak, zabiera Bazylukowi prosię, za rzekomo nieopłacone kiedyś długi, Sajda staje w jego obronie. „Toś ty taki — wybucha Przybyła — z ukraińską świnią trzymasz?"

Córka Sajdy Marta, co wieczora chodzi z ukraińską młodzieżą nad San śpiewać polskie i ukraińskie piosenki, na co „niełaskawym" okiem patrzą tacy kułacy jak Froń i inni.

Tymczasem na wsi dzieje się coraz gorzej. Sajda, który co roku sprzedaje kawałek pola na spłacenie podatków, ubożeje. Miejscowy posterunkowy coraz częściej zagląda do niskich chałup. Pojawiają się gazetki podziemne. Ze wsi znowu granatowa policja zabiera paru Ukraińców. Dziedzic, który zawsze przejeżdżał swym żółtym wolantem przez Brzeg, od czasu jak kobiety obrzuciły go krowim łajnem, jeździ drogą okrężną przez Teleśnicę w asyście dwóch ludzi. W Brzegu, jak pisze dalej autor, „nie wszystko toczyło się po staremu". Karbowy krzyczał i napędzał, a do pracy wychodziła tylko część chłopów. I krzyk nie pomógł. Najgorzej było z podatkami i opłatami. Wieś po prostu przestała płacić.

Oto wierny obraz sytuacji ekonomicznej podkarpackiej wsi. Do głodu ziemi, bezrobocia, dochodzą jeszcze szarwarki i różne świadczenia na rzecz dworu, czyli pańszczyzna w XX wieku. Nie pomogły szantaż policji, pacyfikacje, aresztowania. Cierpienia dobiegają kresu.

Przybyłego na zwołany w Brzegu wiec kułaka Fronia i jego popleczników chłopi wygwizdali, podobnie jak wykpili sanacyjnego posła ukraińskiego Terszczakowca. Wieś już nie wierzyła sanacji. Coraz trudniej było skierować rewolucyjne wrzenie na pogromy żydowskie, coraz częściej nie trafiał do przekonania Ukraińców argument, że wszystkiemu winni są Polacy. Chłopi polscy i ukraińscy rozbroili najsilniejsze posterunki policji w Łobozowie i Lisicy Sonnej. Wiejscy kowale, zamiast koni, przystąpili do kucia broni. U dziedziców i plebanów przeprowadzono rewizję i zabrano broń. Z Leska komenda wysłała ekspedycję karną, ale chłopi rozbili ją. Pod miastem krążyły grupy ukraińskich i polskich chłopów. Przyłączali się do nich Cyganie i Żydzi.

Walka rozpoczyna się na dobre. Teraz widać kto czyj wróg, a kto przyjaciel. Zubożały chłop Sajda, Kłos, obaj Polacy i Ukraińcy — Bazyluk, Iwańczuk walczą razem przeciwko granatowej policji i oddziałom oficerskim, przysłanym przez sanację dla tłumienia powstania. Walczących chłopów uświadamia Małecki z KPP i Madej z Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Ostrzegają oni chłopów przed bratnim rozlewem krwi, tłumaczą im błędność i wrogość haseł nacjonalistów ukraińskich, zachęcających Ukraińców do mordów na Polakach i Żydach. Wyjaśniają im, że nie chłopi polscy, a burżuazja polska i skumana z nią burżuazja ukraińska są wspólnym wrogiem pracujących chłopów, jednej i drugiej narodowości. Ale mimo rewolucyjnego zapału, mimo waleczności chłopów, powstanie zostaje stłumione we krwi. Rzecz jasna, że nie mogło być inaczej. Chłopi jednego powiatu, przeciwko całemu państwu burżuazji polskiej. W tym zestawieniu sił, szala zwycięstwa nie mogła zaważyć inaczej, jak tylko na korzyść sanacji.

Mimo klęski, powstanie miało to znaczenie, że było ostrzeżeniem dla burżuazji, że wcześniej czy później uciskany lud polski, podniesie uzbrojoną rękę przeciwko swemu ciemięzcy. Powstanie leskie było nauką, że rewolucję o władzę, trzeba przygotować w całym kraju, w oparciu o sojusz i kierownictwo klasy robotniczej. „Jeden powiat, nawet trzy to jeszcze za mało. Trzeba, aby powstali wszyscy. Do fabryk trzeba iść, ale nie po to, by je palić, jak to wmawiali chłopom pseudorewolucyjni działacze, ale po to, aby razem z robotnikami walczyć. Oni chcą fabryk, my ziemi" — mówi partyzant Kraska po upadku powstania.

* * *

„Opowieści leskie" Odojewskiego, to ciekawa powieść i historia lat wielkiego kryzysu w Polsce, to jedna z wielkich kart historii ruchu robotniczego. Ale nie tylko to. „Opowieści leskie" to literacki dokument przyjaźni polsko-ukraińskiej, kształtującej się między obydwoma narodami, w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie. Dla nas mieszkańców woj. rzeszowskiego, są ciekawe nie tylko dlatego, że mówią o wydarzeniach naszego terenu, ale i dlatego, że wyjaśniają wiele nieporozumień w stosunkach polsko-ukraińskich i wypełniają lukę w naszej pracy propagandowej i wychowawczej w tej dziedzinie.

W. Świdrak

...Cóż winien Wacuś? A cóż ja? Nie mogłem przecież zdradzić się przed malcem, że o tym tam... Grottgerze wiem tyle, że jego imieniem nazwana jest w Rzeszowie ulica. Znów nieuctwo trzeba pokrywać szorstkością, napuszonością, przesadną powagą.

W myślach przesuwały się wciąż nowe obrazy, nowe sceny niepowodzeń z ostatnich miesięcy pracy instruktora Kazka.

...Chociażby ta w szkole. Właściwie to nie chciał wtedy tam iść. Wiedział, że nie dorówna poziomem 11-klasistom. Kazali... W szkolno-harcerskim nie było akurat nikogo, a ze szkoły już dwa razy dzwonili po przedstawiciela zarządu... Ważna dyskusja.

Kazek siedział jak na szpilkach. Nie znał „Zoranego ugoru" Szołochowa, który tu właśnie omawiano. Uczniowie nie oszczędzili nerwów instruktora. Zwrócili się do niego z zapytaniem... co może powiedzieć o wartościach ideowych i artystycznych książki. Cóż mógł powiedzieć poza kilkoma niedorzecznymi zdaniami. Wartości ideowe, bezsprzecznie... jest to przecież książka postępowa, a artystyczne — wystarczy spojrzeć na okładkę. Ileż było śmiechu. Podawano sobie potem jego odpowiedzi z ust do ust jak kawały.

Upokorzenie stało się tak silnym bodźcem, że Kazek nie tylko postanowił za wszelką cenę uczyć się, ale nawet zabrał się do dzieła.

Któregoś wieczora po przyjeździe z terenu przerzucił niewielką podręczną biblioteczkę. Wyciągnął mocno zakurzone „Przedwiośnie" Żeromskiego. Przypomniał sobie nawet, że czytał kiedyś „Doktora Piotra" tego samego autora. Ale o co Żeromskiemu chodziło w tej nowelce, nie pamiętał.

Przeczytał kilka pierwszych stron. Szło mu ciężko. Nie rozumiał o co właściwie chodzi autorowi w tym „Przedwiośniu". Odłożył. Tu trzeba by zacząć uczyć się od początku, od podstaw.

Tak zaczął przecież kiedyś. Chciał się uczyć. Wiedział jak ciężko mu pracować z jego przygotowaniem. Przyszedł do pracy w aparacie zaraz po zjednoczeniu... 1948 rok. Przeglądnęli w zarządzie jego ankietę: ur...., pochodzenie społeczne — chłopskie, wykształcenie — 7 klas szkoły podstawowej, aktywny działacz młodzieżowy. Wszystko się zgadzało i Kazek został. Kochał swoją pracę i poświęcał się jej bez reszty. Pracował ofiarnie, stał się przykładnym instruktorem. Wszystko układało się dobrze. Nie uczył się wiele... nie było czasu, ale jakoś radził sobie z robotą.

Tak było w pierwszych latach. Potem stopniowo Kazek zauważał, że coś nie klei się w jego robocie. Coraz częściej napotykał na trudności w wyjaśnianiu młodzieży spraw i zagadnień, z którymi się do niego zwracała. Raz po raz wychodziły na wierzch luki w jego politycznym i ogólnym przygotowaniu. A młodzież rosła i żądała coraz więcej. Kazek uświadomił sobie wtedy w pełni, że to już nie 1948 rok, a 1952. Wiedział, że na takiej podstawie dalej się nie utrzyma.

Młodzież przerosła instruktora swoimi wiadomościami przewyższała poziomem. Wiedział o tym i to odbierało mu siły, odwagę, chęć do pracy. Pomocy żadnej od nikogo nie było. Zaczął zaniedbywać się w pracy, unikać szkół, większych ośrodków przemysłowych, dyskusji i rozmów z młodzieżą. Nieuctwo zmuszony był pokrywać sloganami, napuszonymi hasłami, których nauczył się już dawno. Bezsilność męczyła. Chciał się zwolnić z pracy — nie puścili.

Zaczął się uczyć w szkole dla pracujących. Nie dawał rady. Nie starczyło czasu na naukę. Trzeba było zostawić szkołę.

Pociąg wlókł się powoli. Koła miarowo stukały o szyny. Myśl funkcjonowała coraz leniwiej... Uczyć się, muszę, dam chyba radę nadrobić zaległości. Muszę dać... Zasnął.

W lepszym nieco nastroju zjawił się na drugi dzień w zarządzie i z jeszcze mocniejszym postanowieniem rozpoczęcia choćby dziś systematycznej nauki, czytania. Wnet jednak wyleciały z głowy Kazka wszelkie zamierzenia, gdy znalazł się w kołowrocie spraw, odpraw, narad, posiedzeń.

Nareszcie wolna chwila. Kazek zabrał się do czytania „Drewnianego różańca" N. Rolleczek. Nie trwało to długo. Z łoskotem otwarły się drzwi i wpadł do instruktorskiego pokoju podenerwowany kierownik wydziału.

Odpoczywacie — zaatakował z miejsca instruktora... tak, wam się wszystkim wydaje, że łaskę robicie organizacji. Partia was tu postawiła, a wy co, po prostu siedzicie nad książką... robota.

— Ależ towarzyszu kierowniku, muszę to przeczytać, na kołach odbywają się teraz dyskusje nad „Drewnianym różańcem" — starał się tłumaczyć „przychwycony na gorącym uczynku" Kazek.

— Bez filozofii, rozumiecie — ciągnął nie zbity z tropu kierownik—ja mogę żyć bez „Drewnianego różańca", to tym bardziej wy, instruktor. Dzwońcie i to natychmiast. Za chwilę rozpoczynamy naradę aktywu. Sporo ludzi nie przyszło. Trzeba ich jeszcze raz powiadomić... powiadomić koniecznie i zaraz.

Otwarta na 14 stronie książka zamknęła się wraz z zatrzaśnięciem przez kierownika drzwi pokoju. Kazek obojętnie powlókł się do telefonu. Pewnie już nie wrócił do „Drewnianego różańca" tak jak do „Placówki" i wielu innych książek.

Nie wymieniam tu poszczególnych zarządów powiatowych ZMP w naszym województwie. Byłoby trudno. Sprawy opisane powyżej dotyczą niemal każdego z nich, włącznie z Wojewódzkim. Instruktor Kazek nie jest wyjątkiem. Takich Kazków spotkać można w każdym zarządzie zetempowskim. Spotkać można również takich kierowników i przewodniczących, dla których instruktor jest tylko „roboczym koniem".

HELENA NARÓG

A wszystko przez te ryby...

Wiadomo, że jeśli rybę umieścić w naczyniu i nie zmieniać przez dłuższy czas wody — czeka ją niechybna śmierć.

Fakt, prawda oczywista. Ale zgodzi się z tym chyba każdy, że niesposób rozciągnąć jej na wszystkie bez wyjątku dziedziny naszego życia.

Czy jednak naprawdę wszyscy tak uważają? Okazuje się, że wcale nie. I żeby to tylko jednostki...

Weźmy choćby gospodarkę kadrami. Kadry to, jak wiadomo, mimo wszystko nie ryby, a ludzie. Tymczasem...

* * *

— Powiedzcie — no towarzyszu Gwizdek, jak długo już jesteście kierownikiem wydziału politycznego POM?

— Coś blisko trzy miesiące.

— Trzy miesiące, powiadacie. Hm, trzy miesiące. Bo widzicie, potrzeba nam człowieka na stanowisko kierownika PSS, odpowiedzialnego człowieka. Pomyślałem o was. Zresztą czas już, by dać wam inną robotę. Kiedy się człowiek zbyt długo zasiedzi w jednym miejscu, traci polot, albo powiedzmy bardziej obrazowo: czuje się jak ryba bez świeżej wody. Wy, oczywiście, zgadzacie się...

* * *

...Ja, proszę zebranych, dwa słowa o kadrach. Kadry to złoty fundusz, nieprzebrana skarbnica. O wszystkim decydują kadry. Oczywiście, kadry muszą rosnąć, to jest rozwijać się. Kadry, które nie rozwijają się, nie rosną. Weźmy konkretnie. U nas często kroć kadry nie rosną. No, bo czy może się rozwijać człowiek, który pięć miesięcy, nie mówię już rok czasu, jest kierownikiem GS-u. Znam jeden taki konkretny przykład — w gromadzie Brzanka od roku jest kierownikiem GS-u pewien nasz towarzysz. Cóż z tego, że jest dobrym kierownikiem, kiedy nie rośnie. A nie rośnie bo od roku czasu jest kierownikiem... Dlatego musimy, proszę zebranych, ożywić naszą pracę z kadrami, rozstawić kadry po nowemu. Bo z kadrami to podobnie jak z rybami: kiedy rybie nie dać świeżej wody — ginie. Nie dajmy więc ginąć naszym kadrom, właściwie je rozstawiajmy!...

* * *

— Słuchajcie, jak to się właściwie dzieje, że w waszym powiecie trudno wprost znaleźć człowieka, który by był dłużej na jakimś stanowisku, który sprawowałby jakąś funkcję dłużej niż parę tygodni, nie mówię już miesięcy.

— No, bo my dbamy o kadry, troszczymy się...

— ?...

— Nie pozwalamy się ludziom zasiedzieć, po prostu staramy się o ich rozwój. Prowadzimy politykę doboru i rozstawiania kadr. Chyba nie muszę wam tego tłumaczyć, że jeśli, dajmy na to, ryba...

Oj, te ryby, ryby! Iluż to przez nie ludzi się naprzestawiało, albo powiedzmy bardziej obrazowo: zmieniło wodę...

DRZAZGA

P. S. Powyższy felieton dedykujemy towarzyszom odpowiedzialnym za kadry w PGR-ach woj. rzeszowskiego.

Jak się bawić — to się bawić

W gromadzie Końskie (pow. Brzozów) odbyła się ostatnio huczna zabawa. Po zakończeniu zabawy, sala domu gromadzkiego przedstawiała naprawdę opłakany widok.

wg koresp. H. Góreckiego
Brzozów

Jedzą, piją „mocne" palą, tańce, hulanka... ziedola.

Siewy za pasem

Niektóre komisje gromadzkich rad narodowych pracują z [illegible] nym opóźnieniem.

— Otwieram posiedzenie komisji drogowej i proponuję zabezpieczyć naszą drogę gromadzką przed zaspami śnieżnymi.

ŻART

Był sobie pewien Dom Młodego Robotnika, któremu przydzielony został nadzwyczajny wprost kierownik. Postanowił on — wyobraźcie sobie! — urządzić w tym domu ciekawą imprezę. Taką, żeby były i śpiewy i anegdoty, a potem — zabawa taneczna.

Rzeczywiście — jak widzicie — wyjątkowy kierownik! Zwierzył się mieszkańcom „swego" domu z tego oryginalnego pomysłu.

— Nigdy nie słyszeliśmy o czymś podobnym — brzmiały nieufne odpowiedzi.

— Ani u nas, ani w innych domach nigdy nie organizuje się takich imprez...

— To nawet dobry żart z tą imprezą!

Niektórzy patrzyli do kalendarza czyżby już dzień pierwszego kwietnia? Tak szybko?

Pewnego dnia kierownik podał termin uroczystości.

— Dobrze, dobrze — odpowiadali młodzi z uśmiechem. Był to tzw. śmiech przez łzy.

W oznaczonym dniu i porze wszyscy niemal mieszkańcy domu udali się... nie, nie, nie do świetlicy! Udali się do restauracji. W pięknie udekorowanej świetlicy został jedynie sam kierownik, rozpaczliwie załamujący ręce.

Wkrótce udało się jednak zwerbować ze trzy pary, potem jeszcze kilka i zabawa, choć w szczupłym nieco gronie, poszła na „całego". Było naprawdę miło i przyjemnie.

Następnego dnia przeważająca część młodych ludzi — wszyscy, którzy nie byli na zabawie — udała się do kierownika:

— Towarzyszu kierowniku, to naprawdę bardzo przykry żart z waszej strony. Skąd mogliśmy wiedzieć? Bo po pierwsze, żaden prawie kierownik DMR nawet słowem nie pisnie nigdy o zabawie. Po drugie zaś, jeżeli już pisnie — z reguły nie spełnia przyrzeczeń. A tymczasem wy... Nie przyszło nam nawet do głowy, że wy tak serio, bez żadnej lipy... Straciliśmy okazję, bo zabawa, jak słyszeliśmy, zorganizowana była na medal!

Byli doprawdy bardzo rozżaleni.

Janusz Białecki.

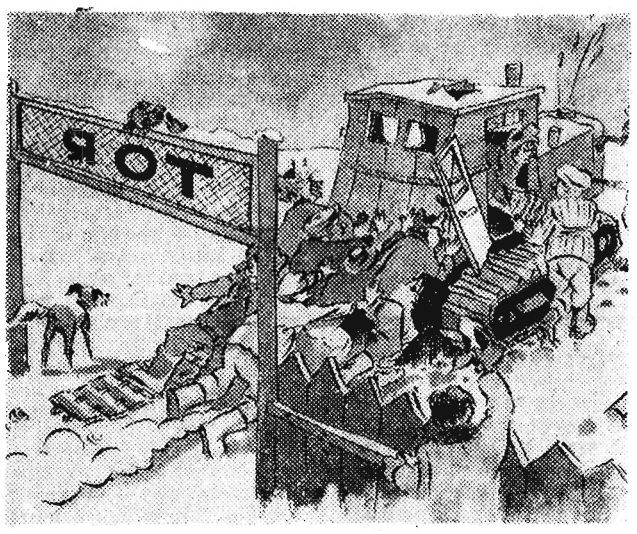

— Jazda — Szczęśliwej drogi —
My — zrobiliśmy wszystko co było w naszej mocy.
Rys. Semenow
(Krokodyl)

Radiowęzeł czy tuba do ogłoszeń?

W średniowieczu obwieszczano wszelkie nowiny uroczyście, na rynku miasteczka. Burmistrz zwoływał ludność za pomocą bicia w bęben, a następnie przez trąbę ogłaszał uchwały ławników, postanowienia rady miasta lub też wyrok, na mocy którego jakowyś „zbrodniarz bezecny" został np. skazany na „łamanie kołem".

— Do tych tradycji sięga dyrektor Zakładów Przemysłu Gumowego w Dębicy. Rolę bębna i trąby spełnia mu z powodzeniem radiowęzeł zakładowy, oddany całkowicie na jego usługi.

O wszystkich postanowieniach dyrektorskich dowiadują się pracownicy z tuby głośnika. Głośnik wzywa ich na zebrania, masówki, prelekcje. Za pomocą głośnika dowiadują się poszczególni pracownicy, co sądzi o nich dyrektor.

Ten ostatni natomiast jest święcie przekonany, że radiowęzeł jego zakładu spełnia doskonale swą rolę „organizatora życia załogi".

Wł. Majakowski

Chuligaństwo

Ledwo
słońce
pożogą szklaną
spłynie
za nieme fabryczne mury
już lecza
miast krańce
od chuliganów,
których
w krąg
rozpełzły się chmury.
Zobaczy ich człowiek —
i szast do domu!
Znajdź się tylko
w takiego łapkach!
Już oni
nie przepuszczą
nikomu —
mężczyzna to,
kobieta,
czy elektryczna lampka.
„Ej, panienko!
Odprowadzę może...
Świetlica?
Po co?!
Prysnęło szkło z brzękiem
Nie podoba się?
W plecy go nożem!
Zęby policzyć!
Zwichnąć mu szczękę!
Łeb
rozpycha
wódczany opar.
Spłaszczył do reszty
myśl,
i tak płaski
A powietrze
rąbie już nawet nie topór:
milion toporów —
przekleństw
i wrzasków.
Robotniku,
czyż w tych
krew nasza płonie?!
Czy takim
dasz córki swe młode?!
Póki czas jeszcze —
zrób już raz koniec
z tym rozwrzeszczanym,
z tym brudnym wrzodem!

1924.

Przełożył: A. STERN

nie trudno zgadnąć

W lewym górnym kwadracie poprzestawiać liczby

1—16 tak, by ich sumy w rzędach poziomych i pionowych oraz na ukos wynosiły po 34. Następnie w miejsce liczb wpisać poziomo 4-literowe wyrazy o znaczeniach: 1. brak powodzenia, 2. ważna część zegara, 3. coś w rodzaju chuligana, 4. ryby. W końcu podstawić litery zamiast liczb w kratce dolnej i odczytać rozwiązanie. Literę „j" i liczbę „15" podaje się dla ułatwienia.

Przestawianka

(Nadesłał Stanisław Żelazek)

Wyrazy: bagnet, cyprys, jabłko, knieja, kompot, krawat, promyk, sceptr, ujście (wspak), wstęga i zegota wpisać do rzędów poziomych w takiej kolejności, by litery wypadające w polach oznaczonych, czytane poziomo, dały rozwiązanie. Dla ułatwienia podano końcowe litery dwóch wyrazów.

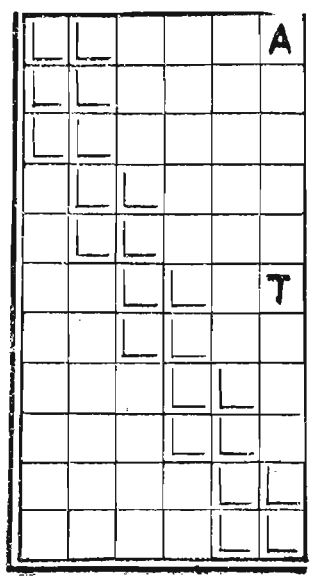

Za rozwiązanie przynajmniej jednego z tych zadań przeznacza redakcja do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych. Przypominamy, że rozwiązania bez podania wyrazów pomocniczych nie są uwzględniane.

Rozwiązania zadań konkursowych (c. d.)

Z Nr. 1 (247) 7. Konikówka: „Najlepsze życzenia noworoczne przesyła szaradzistom redakcja działu". — 8. Szyfrogram literacki: J. Iwaszkiewicz — Żołnierze, K. Bunsz — Ojciec i syn, H. Sienkiewicz — Za chlebem, W. Wasilewska — Rzeki płoną, K. Brandys—Obywatele J. I. Kraszewski — Stara baśń, S. Brzozowski — Płomienie, L. Rudnicki — Stare i nowe. — 9. Kalambur: „Lewar".

Z Nr. 3 (249): 10. Składanka: „Dobry żart tynfa wart" — 11. Metamorfozy: I. burak, barak, barok, baron, balon, salon. II. proch, proca, praca, prasa, trasa, klasa.

jeśli zbierasz to przeczytaj

Wydane w [illegible] 1931—1935 z okazji Bałkańskich Igrzysk Sportowych znaczki bułgarskie są dzisiaj nieosiągalnym marzeniem wielu zbieraczy znaczków sportowych. Były to bowiem wydania spekulacyjne, obliczone na duży zysk.

Z okazji święta kultury fizycznej Ludowa Bułgaria wydaje rokrocznie niedrogie serie sportowe, które są również w Polsce rzadkie z uwagi na małą ilość importowanych serii. A szkoda bo jak widzimy na reprodukcji — są pełne artyzmu i powabu.

J. Krywiak